

**JULIUSZ VERNE**

**DZIESIĘĆ GODZIN  
POLOWANIA**

## ***Wstęp***

*(pochodzi z wydania broszurowego)*

Oddajemy dzisiaj do rąk czytelników opowiadanie, które powstało w oparciu o rzeczywiste zdarzenie jakie przeżył Juliusz Verne, ale oczywiście upiękzone nieco przez pisarza. Ponieważ nie dotarliśmy do tej pory do bardziej szczegółowego opisu, możemy tylko powiedzieć [na podstawie niezbyt pewnych źródeł], że była to odpowiedź na czyjeś wystąpienie i Verne wygłosił je na posiedzeniu Akademii w Amiens.

Jeżeli dotrzemy do szerszych informacji, natychmiast zamieścimy je w "Nautilusie".

*We Francji ukazało się po raz pierwszy 19-20 XII 1881 w Journal d'Amiens, Moniteur de la Somme [Przegląd Amiens. Monitor departamentu Somme], na stronach 2-3 pod tytułem Dix heures en chasse. Simple boutade [Dziesięć godzin polowania. Zwykły dowcip].*

Wydanie książkowe ukazało się w pół roku później, razem z powieścią *Zielony promień*, z jedną ilustracją Gédéona Barila.

Pierwsze, i do tej pory jedyne wydanie polskie ukazało się nakładem i drukiem Jana Czaińskiego w Gródku, w roku 1887, pod tytułem *Dziesięć godzin polowania: skromna facecja*, z niewielkimi pominięciami i skrótami.

## I

Bywają ludzie, którzy zupełnie nie lubią myśliwych i, być może, właściwie mają rację.

Czyżby dlatego, że każdy dżentelmen czuje wstręt do zabijania własnymi rękami zwierzyny przed jej zjedzeniem?

Czy też nie będzie to raczej dlatego, że tak zwani myśliwi z wielką przyjemnością przy lada okazji, a także bez powodu, opowiadają o swych czynach bohaterskich?

Skłaniam się ku temu ostatniemu argumentowi.

Otóż przed dwudziestu laty ja sam stałem się winny pierwszego z tych występków. Polowałem! Tak, polowałem!... Dlatego, aby się ukarać, zamierzam stać się winnym drugiego, opowiadając szczegółowo moje przygody na polowaniu.

Gdyby przynajmniej ta szczerza i zgodna z prawdą opowieść mogła wzbudzić na zawsze wstręt w moich bliźnich do biegania po polach w towarzystwie psa, z torbą na plecach, z ładownicą u pasa i z fuzją na ramieniu! Lecz muszę przyznać, że na wiele nie liczę. Mimo to, na los szczęścia, zaczynam.

## II

Jakiś filozof oryginał powiedział kiedyś: “Nie miejcie nigdy ni domu na wsi, ni powozu, ni koni ani też terenów łowieckich! Zawsze znajdą się przyjaciele, którzy się tym wam przysłużą.”

Wskutek wprowadzenia tej tezy w życie i ja zostałem nakłoniony do uczynienia pierwszych kroków jako myśliwy na terenach należących do departamentu Somme, mimo że nie byłem ich posiadaczem.

Jeśli się nie mylę, działo się to w końcu sierpnia 1859 roku. Rozporządzenie prefektury właśnie na następny dzień naznaczało początek otwarcia sezonu łowieckiego.

W naszym miasteczku Amiens nie było nawet najuboższego sklepikarza, ani najnędniejszego rzemieślnika, który by nie posiadał jakiegokolwiek flinty i nie rozbijał się z nią po przedmieściach. Nic więc dziwnego, że co najmniej od sześciu tygodni z niecierpliwością oczekiwano tego oznaczonego dnia.

Rutyniarze, ci, którzy twierdzili, że kiedyś nadejdzie ta chwila, jak również strzelcy trzecio- i czwartorzędni, biegli w tej sztuce, którzy to zabijają nie mierząc, i niezgrabiasze, którzy znowu mierzą a nigdy nie zabijają, wreszcie partacze, nie mniej diligents<sup>1</sup> niż myśliwi di primo cartello,<sup>2</sup> przygotowywali się do rozpoczęcia sezonu, wyposażali, czynili zapasy, wprawiali się: jak marzyli, to tylko o przepiórkach, jak rozprawiali, to tylko o zajęcach, jak śnili, to tylko o kuropatwach! Żona, dzieci, rodzina, przyjaciele – wszyscy poszli w niepamięć! Polityka, sztuka, literatura, rolnictwo, handel – wszystko ustąpiło wobec zajęć związanych z owym wielkim dniem, w którym miał nastąpić pokaz tych fanaberii, które nieśmiertelny Joseph Prudhomme<sup>3</sup> zwykł nazywać “barbarzyńską rozrywką”.

Otóż zdarzyło się, że wśród moich przyjaciół z Amiens, znalazł się jeden zapalony myśliwy, przystojny chłopak, chociaż urzędnik. Udało mu się też dziwnym zbiegiem okoliczności uzyskać, pod pretekstem reumatyzmu, ośmiodniowy urlop w chwili rozpoczęcia się pory polowania.

Przyjaciel ten nazywał się Brétignot.

Na kilka dni przed pamiętną datą Brétignot przyszedł mnie odwiedzić, mnie, który nigdy nie myślałem o złych rzeczach.

– Nigdy nie polowałeś? – zapytał tonem wyższości, obejmującym dwie części życzliwości przeciw ośmiu częściom lekceważenia.

– Nigdy, Brétignot – odpowiedziałem – i nie myślę wcale by...

– Bardzo dobrze, więc wybierz się ze mną na otwarcie polowania – rzekł Brétignot. – W gminie Hérissart mamy do dyspozycji dwieście hektarów, gdzie roi się od zwierzyny! Mam prawo przyprowadzić ze sobą jednego gościa. A więc zapraszam cię i zabieram ze sobą!

– Ale... – zacząłem niepewnie.

– Nie posiadasz fuzji?

– Nie, Brétignot, i nigdy żadnej nie miałem.

– To nic wielkiego! Wypożyczę ci jedną strzelbę – co prawda z bagnetem – ale możesz z osiemdziesięciu kroków położyć każdego zająca.

– Pod warunkiem że go trafię – zauważyłem.

– Oczywiście! Będzie w sam raz dla ciebie!

– Zbytek uprzejmości, Brétignot!

– Zapewne też nie będziesz miał psa?!

– Och, nie będzie potrzebny, gdy będę miał strzelbę! Miałbym dodatkowe zajęcie!

Przyjaciel Brétignot spojrzał na mnie wzrokiem na poły słodkim, na poły kwaśnym. Nie lubił bowiem ludzi, którzy żartują sobie ze spraw związanych z polowaniem. To rzecz święta!

Jednakże wkrótce rozchmurzył się.

– A więc pojedziesz? – spytał.

– Jeżeli ci na tym zależy... – odpowiedziałem bez entuzjazmu.

– Ależ tak! Oczywiście! Trzeba przynajmniej raz w życiu to zobaczyć. Wyruszmy w sobotę wieczorem. Liczę na ciebie...

Otóż w taki sposób zostałem wplątany w ową awanturę, której fatalne wspomnienie ciągle mnie prześladowa.

Przyznaję, że przygotowania wcale nie wzbudziły we mnie niepokoju. Spałem wyśmienicie. Jednakże, jeśli mam powiedzieć prawdę, zżerał mnie trochę demon ciekawości. Czy istotnie otwarcie sezonu łowieckiego jest tak interesujące? W każdym razie przyrzekam sobie jeżeli nie działać tak jak oni, to przynajmniej obserwować z zainteresowaniem myśliwych i polowanie. Jeżeli zgodziłem się wziąć strzelbę do ręki, potrafię zachować twarz wobec Nemrodów,<sup>4</sup> do których grona zaprosił mnie przyjaciel Brétignot.

Jednakże muszę powiedzieć, że jakkolwiek Brétignot pożyczył mi strzelbę, rozek na proch<sup>5</sup> i woreczek na śrut, pozostawała sprawa torby myśliwskiej. Należało zatem dokupić tę rzecz, bez której myśliwy nic nie znaczy. Szukałem okazji. Nadaremnie! Na torby był niesamowity popyt. Wszystkie rozchwymano. Zmuszony byłem kupić zupełnie nową, ale

postawiłem wyraźnie warunek, że będę mógł ją zwrócić z powrotem, ze stratą pięćdziesięciu procent, gdy już nie będzie potrzebna.

Sprzedawca z uśmiechem spojrział na mnie i zgodził się.

Uśmiech jego nie wydawał się być zbyt dobrą dla mnie wróżbą.

“Zresztą, kto wie?” – pomyślałem.

O próżności!

### III

W wyznaczonym dniu, w przeddzień otwarcia sezonu łowieckiego, o szóstej wieczorem, stawilem się na spotkanie, które Brétignot wyznaczył mi na placu Périgord. Tam, jako ósmy z kolei, nie licząc psów, wsiadłem do dylizansu.

Brétignot i jego towarzysze polowania – nie śmiałem zaliczać się jeszcze do nich – wyglądali wspaniale w tradycyjalnym rynsztunku. Wyśmienite okazy, nadające się do badań: jedni poważni w oczekiwaniu na jutrzejszy dzień, inni weseli, gadatliwi, już przetrzebili, spustoszyli słowami wszystkie zapasy gminy Hérissart.

Było tam pół tuzina wyśmienitych strzelb stolicy Pikardii,<sup>6</sup> lecz trudno mi było ich rozpoznać. Dlatego też mój przyjaciel Brétignot musiał prezentować mnie tym osobom według ogólnie przyjętych zasad.

Najpierw przedstawił mnie jakiemuś panu Maximonowi, wysokiemu chudzielcowi, najłagodniejszemu z ludzi w codziennym życiu, ale okrutnemu, skoro tylko w dłoni poczuł strzelbę, jednemu z tych namiętnych myśliwych, który to – tak się mówi – wolałby raczej zastrzelić jednego więcej spośród swych towarzyszy, niż powrócić z polowania z niczym. Maximon nie mówił wcale, zajęty głębokimi myślami.

Obok tej poważnej osoby siedział Duvauchelle. Jakież kontrast! Duvauchelle, gruby, mały, między pięćdziesiątym piątym a sześćdziesiątym rokiem życia, głuchy tak, że nie słyszał nawet huku własnej broni, ale za to z wielką zaciekłością poddający w wątpliwość wszystkie niepewne strzały. On to właśnie dwa razy strzelał z nienabitej strzelby do martwego już zająca, na skutek jednej z tych wpadek myśliwych, które później przez pół roku rozbawiały towarzystwo w klubach i w restauracjach.

Musiałem wytrzymać także mocny uścisk ręki Matifata, wielkiego gawędziarza o wyczynach myśliwskich. O tym tylko umiał rozprawiać. A jakich on używał wykrzykników! Jakich onomatopei!<sup>7</sup> krzyk kuropatwy, gon<sup>8</sup> psa, huk strzelby! Paf! Paf! Paf! – Trzy paf dla dubeltówki! Dalej, jakich gestów! Ręka, którą wykonywał ruch śrubowy, naśladując zygzakowaty bieg zwierzyny, zginające się nogi, zaokrąglający się grzbiet dla oddania pewniejszego strzału, lewe ramię naprężające się, podczas gdy prawe powracało do piersi, stanowiąc podporę dla broni! Upadające dzikie zwierzęta włochate i pierzaste! Ileż zajęcy zabitych zaraz po opuszczeniu legowiska! Ani jednego nie chybił! Ja także, siedząc w kąci, mogłem być zabity tymi gestami.

Lecz tym, którego naprawdę warto było posłuchać, był Matifat rozmawiający ze swoim przyjacielem, Pontclouém – byli oni jak dwa palce jednej ręki – co nie przeszkadzało im obciążać się winami o ile tylko jeden z nich wszedł w paradę drugiemu.

– Tyle w zeszłym roku zabiłem zajęcy – mówił Matifat, podczas gdy trzęsący się powóz toczył się w kierunku Hérissart – że nie potrafiłem ich się policzyć!

“Doprawdy, to tak jak ja!” – pomyślałem.

– A ja, Matifat! – odparł Pontcloué. – Pamiętasz jak ostatnio poszliśmy polować w okolice Argoeuvres? Tam były kuropatwy!

– Jeszcze widzę pierwszą, która miała szczęście znaleźć się na drodze lotu mego ładunku śrutu!

– A ja drugą, której pióra były tak oskubane, że nie zostało z niej nic prócz skóry na kościach.

– A ta, której mój pies nie mógł znaleźć w brudzie, gdzie z całą pewnością upadła!

– A ta, do której strzelałem z pewnością z ponad stu kroków? Jestem przekonany, że ją ustrzeliłem!

– A ta następna? Oddałem dwa strzały: paf! paf! paf! Krążyłem w lucernie, lecz na nieszczęście mój pies zachowywał się jak otepiały!

– Albo to stado, które właśnie nadleciało w chwili, kiedy ponownie ładowałem moją fuzję? Brr! Brr! Ach, jakież to było polowanie moi przyjaciele, jakie polowanie!

W rezultacie, jak mi się zdaje, wszystkie te kuropatwy ubijane przez Pontclouégo i Matifata nigdy nie znalazły się w ich torbach. Ale nie śmiałem odezwać się, ponieważ po prostu czułem się onieśmielony w towarzystwie tych ludzi, bardziej uczonych w tej dziedzinie ode mnie. Wszelako, jeśli szło o pudłowanie, to do licha i ja to doskonale umiałem!

Jeśli idzie o innych myśliwych, zapomniałem ich nazwisk. Jeżeli jednak nie mylę się, jeden z nich znany był pod przydomkiem Baccara,<sup>9</sup> ponieważ na polowaniu “ciągle strzelał, a nigdy nic nie zabijał”.

Doprawdy nie wiem, ale któż mi zaręczy, że i ja też nie zasłużę sobie na podobne przydomko? Jedźmy jednak! Rozpiera mnie ambicja i chciałbym tak przyspieszyć czas, żeby to już było jutro!

## IV

To “jutro” w końcu nadeszło. Ale jaką też noc spędziliśmy w oberży w Hérissart! Jeden, jedyny pokój dla ośmiu osób! Liche łóżka, w których można było niezgorzej polować, aniżeli na polach samej gminy. Ohydne pasożyty po bratersku dzieliły się miejscem z psami leżącymi przy łóżkach i drapiącymi się tak zawzięcie, że aż trzęsła się podłoga!

A ja jeszcze naiwnie spytałem się naszej gospodyni, starej Pikardyjki ze sztywnymi, rozczochranymi włosami, czy w sypialni nie ma pcheł!

– Skądże! – odpowiedziała. – Wcześniej zjadłyby je pluskwy!

Wobec takiego stwierdzenia postanowiłem spać w ubraniu na koślawym krześle, które jęczało za każdym poruszeniem się. Kiedy wreszcie nastał dzień, czułem się kompletnie wykończony.

Naturalnie, przebudziłem się pierwszy. Brétignot, Matifat, Pontcloué, Duvauchelle i ich towarzysze jeszcze spali głębokim snem. Pragnąłem jak najprędzej znaleźć się na równinie, tak jak wszyscy niedoświadczeni myśliwi, którzy chcą wyjść ze świtem, nie zjadłszy przedtem śniadania. Ale moi mistrzowie, budzący się kolejno jeden po drugim, powstrzymali moje zniecierpliwienie neofity.<sup>10</sup> Ci spryciarze wiedzieli, że o brzasku kuropatwy, mające skrzydła jeszcze zwilżone rosą, z trudem dają się podejść i kiedy wreszcie wzlecą w powietrze, nie zdecydują się powrócić na tokowisko.<sup>11</sup> Dlatego też należało czekać dopóki wszystkie łyż jutrzenki nie zostaną osuszone przez słońce.

Wreszcie, po obfitym śniadaniu i wypiciu pożegnalnego kielicha, opuściliśmy, drapiąc się, oberżę. Następnie skierowaliśmy się na równinę mającą być miejscem polowania.

W chwili, kiedy docieraliśmy do jej obrzeży, Brétignot, wzięwszy mnie na stronę, powiedział:

– Strzelbę trzymaj jak należy, ukośnie, z lufą skierowaną w ziemię i postaraj się nikogo nie zabić.

– Staram się, jak mogę – odpowiedziałem, nie chcąc się do niczego zobowiązywać – ale na zasadzie wzajemności, nieprawdaż?

Brétignot wzruszył pogardliwie ramionami – oto byliśmy przecież na polowaniu – polowaniu swobodnym – każdy postępował podług swego widzimisię.

Okolica Hérissart jest dość odpychająca. Właściwie jest to zupełnie pustkowie, nie odpowiadające nadanej mu nazwie.<sup>12</sup> Ale zdawało się, że jeżeli nawet nie obfituje w zwierzynę bardziej niż Mont-sous-Vaudrey,<sup>13</sup> to “knieje” będą “pełne zajęcy”, jak mówił Matifat, i że można ich będzie natłuc “na kopy”, jak dodawał Pontcloué.

Mając w perspektywie możliwość oddawania pięknych strzałów, wszyscy ci dzielni ludzie byli w doskonałych humorach.

Wreszcie ruszyliśmy. Pogoda była prześliczna. Rzadkie promyki słońca przebijały, tu i ówdzie, poranne kłęby mgły zasnuwającej horyzont. Zewsząd rozlegały się krzyki, wrzaski, ćwierkania, gdakania. Były to głosy ptaków wzlatających w niebo jak wiropłatowce,<sup>14</sup> których sprężyna zwolni się niespodziewanie.

Kilka razy, nie mogąc się powstrzymać, szybko wycelowałem z mojej fuzji.

– Nie strzelaj! Nie strzelaj! – wołał do mnie przyjaciel Brétignot, który, nie odwracając głowy, obserwował mnie jednak bacznie.

– Dlaczego, czyż nie są to przepiórki?

– Nie! To skowronki! Nie strzelaj!

Nie trzeba dodawać, że Maximon, Duvauchelle, Pontcloué, Matifat i dwaj inni patrzyli na mnie jakoś spod oka. Potem bardzo rozumnie oddalili się ze swoimi psami, które ze opuszczonymi ku ziemi nosami poczęły tropić w lucernach, trawach, koniczynach, poruszając szybko ogonami jakby na znak pytań, na które nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

Pomyślałem, że ci panowie nie życzyli sobie pozostać w strefie bardzo niebezpiecznej, zagrożonej przez nowicjusza, którego fuzja mogłaby poważnie zagrozić ich puszczelom.

– Do licha! Trzymaj swoją strzelbę jak należy! – powtórzył Brétignot w chwili, kiedy się oddalał.

– Cóż znowu! Przecież nie trzymam jej gorzej od innych – odrzekłem, trochę zdenerwowany tym ciągłym upominaniem.

Po raz drugi Brétignot wzruszył ramionami i zboczył nieco w lewo od drogi. Ponieważ nie wypadało mi pozostać z tyłu, przyspieszyłem kroku.

## V

Dopędziłem moich towarzyszy, ale żeby ich nadaremnie nie przerażać, trzymałem strzelbę na ramieniu, kolbą do góry.

Jaki wspaniały widok przedstawiali ci zawodowi łowcy w strojach myśliwskich: białe kurtki, sztruksowe spodnie, luźne trzewiki z ćwiekami oddzielającymi podeszwę od przyszwę, płócienne onuce okrywające pończochy z wełny, lepsze od pończoch z lnu czy bawełny, ponieważ nie powodują otarć – takich, jakie wkrótce zapewne ujrzę u siebie.

Ja nie wyglądałem tak dobrze w moim nieco przypadkowym rynsztunku, ale nie można wymagać od początkującego myśliwego garderoby starego hipokryty.

Nie wiedziałem także zupełnie nic o rozpoznawaniu zwierzyny, podczas gdy w rejonie było jej pełno: przepiórki, kuropatwy, derkacze, następnie zające styczniaki, które moi towarzysze nazywali trzy-czwarte i o których ciągle rozprawiali; potem młode zajączki, następnie zajączyce. Trzeba o nich coś wiedzieć, nim zdoła się je rozpoznać.

– Należy również unikać – powiedział mój przyjaciel Brétignot – strzelania do kotnych samic zająca. To niegodne myśliwego!

Kotne albo nie – do diabła, jak to jestem w stanie rozpoznać – ja, który nie odróżniam królika od domowego kota – nawet w potrawce!

Na koniec Brétignot, któremu szczególnie zależało na tym, abym go nie skompromitował, dorzucił:

– Teraz udzielę ci ostatniej rady, która może mieć duże znaczenie w przypadku, gdy będziesz strzelał do zająca.

– Jeżeli tylko przebiegnie w pobliżu – zauważyłem ironicznie.

– Z pewnością przebiegnie – odpowiedział chłodno Brétignot. – No, dobrze, przypominam ci, że dzięki swej budowie zając prędzej biegnie pod górę, aniżeli na dół. Trzeba na to uważać, ustalając kierunek strzału.

– Jak to dobrze, że mnie uprzedziłeś o tym, drogi przyjacielu – odparłem. – Zapamiętam tę uwagę i obiecuję, że z niej skorzystam.

W głębi duszy jednak myślałem, że nawet jeśli zając będzie biegł w dół, prawdopodobnie pobiegnie szybciej niż mordercza ołowiana kula, mająca go zatrzymać w biegu!

– Na polowanie! Naprzód! – zawołał wówczas Maximon. – Nie przyjechaliśmy tutaj, aby uczyć nowicjuszy!

Straszny człowiek! Nie ośmieliłem się jednak odezwać.

Przed nami, jak okiem sięgnąć, wzdłuż i wszerz ciągnęła się rozległa płaszczyna. Psy poszły przodem. Ich panowie rozproszyli się. Staralem się, w miarę możliwości, nie stracić ich z widoku. Dręczyła mnie bowiem pewna myśl: czy moi towarzysze, z natury dowcipnisie, nie zechcą mi wypłatać kilku figli, wykorzystując mój brak doświadczenia. Mimo woli przypomniała mi się zabawna historia pewnego nowicjusza, któremu przyjaciele kazali strzelać do królika zrobionego z kartonu, a sami, siedząc na tyłkach w gęstych zaroślach, drwiąco wybębniłi mu marsz tryumfalny! Ja po takim oszustwie umarłbym chyba ze wstydu!

Tymczasem myśliwi krążyli na chybił trafił w rozmaitych kierunkach na ściernisku, poprzedzani przez psy, z zamiarem dotarcia do rysującego się o trzy lub cztery kilometry wzniesienia, którego grzbiet porastały małe drzewa.

Wszyscy oni, przyzwyczajeni do chodzenia po gruncie błotnistym i po uprawnej roli, wkrótce wyprzedzili mnie tak, że pozostałem z tyłu. Nawet Brétignot, który początkowo zwalniał, aby nie pozostawić mnie samego na łasce losu, uniesiony myśliwskim instynktem pospieszył za nimi. “Wcale nie mam ci tego za złe, mój przyjacielu. Twój instynkt, silniejszy niż twoja przyjaźń, uniósł cię mimowolnie!” – pomyślałem. Wkrótce też zniknęli mi z oczu moi towarzysze, tak, że tylko ich głowy rysowały się jeszcze nad zaroślami jak pikowe asy!

Już przeszło dwie godziny upłynęły od czasu, jak opuściliśmy oberżę w Hérissart, a nie padł jeszcze ani jeden strzał. Można sobie było wyobrazić, jak będą narzekać, gderać, w jakich będą złych humorach, jeżeli po powrocie ich torby myśliwskie będą tak puste, jak w chwili wyjścia!

Lecz któżby pomyślał, że mnie wypadnie oddać tego dnia pierwszy strzał! Wstydzę się powiedzieć, w jakich okolicznościach się to stało.

Mam to wyznać? Oto nie nabiłem jeszcze fuzji! Nieopaczność nowicjusza? Nie, to sprawa ambicji! Bojąc się okazać bardzo niezręcznym, postanowiłem zostać sam, aby dokonać tej operacji.

Zostawszy więc sam, bez świadków, otworzyłem rożek na proch, wsypałem ładunek do lewej lufy i przytrzymałem go przybitką<sup>15</sup> z papieru, następnie na wierzch nasypałem dobrą miarkę śrutu – więcej niż trzeba. Kto wie, ołów jest ciężkim i mógłby nie wylecieć!? Następnie przybijałem, przybijałem prawie do złamania stempla<sup>16</sup> i wreszcie – o lekkomyślności ludzka! – założyłem kapiszon na kominek,<sup>17</sup> który przed chwilą włożyłem.

To samo powtórzyłem z prawą lufą. Ale właśnie kiedy przybijałem ładunek nastąpiła eksplozja! Padł strzał!... Cały impet uderzenia tylko co musnął moją twarz! Zapomniałem opuścić kurek na kapiszon w lewej lufie, a ten, spadając, spowodował wystrzał.

Oto przestroga dla nowicjuszy! O mało co nie uwieczniłem otwarcia sezonu łowieckiego w departamencie Somme tym żalonym wypadkiem.

A gdyby tak – taka myśl przyszła mi do głowy – w chwili, gdy został oddany ten nieostrożny strzał, na kierunku strzału znalazłoby się jakieś zwierzę, to bez wątpienia zostałyby położone trupem!... Była to, być może, jedyna moja okazja, która więcej się już nie powtórzy!

## VI

Tymczasem Brétignot i jego koledzy dotarli do skupiska drzew. Zatrzymali się tam i dyskutowali, co należałoby zrobić, aby odwrócić ciężące fatum. Dotarłem do nich wkrótce, nabawiwszy przedtem ponownie fuzję, tym razem z wielką ostrożnością.

Pierwszy odezwał się do mnie Maximon, lecz tonem pogardliwym, jaki tylko przysługuje mistrzowi:

- Pan strzelał? – spytał.
- Tak, to jest... Tak! Ja strzelałem!
- Kuropatwa?
- Kuropatwa.

Za nic w świecie nie opowiedziałbym przed takim areopagiem<sup>18</sup> o mojej niezręczności.

– A gdzie ta kuropatwa? – pytał dalej Maximon, dotykając pustej torby końcem swojej strzelby.

– Przepadła! – odpowiedziałem bezczelnie. – Cóż pan chce? Nie miałem psa! O, gdybym go miał!...

Dalej! Śmiało! Z takim tupetem już nic mi nie brakuje, aby stać się prawdziwym myśliwym!

Nagle przesłuchanie, któremu byłem poddawany, zostało gwałtownie przerwane. W tym momencie, o około dziesięć kroków od nas, pies pana Pontclouégo wystraszył przepiórkę. Bezwiednie, instynktownie, jakby od niechcienia złożyłem się do strzału i... *paf!* – jak mówi Matifat.

Jakież jednak policzek otrzymałem, źle oparłszy broń o ramię! Był to jeden z tych policzków, to prawda, po którym od nikogo nie można żądać satysfakcji!

Po moim strzale nastąpił zaraz drugi. To strzelał Pontcloué.

Przepiórka upadła, podziurawiona, a pies przyniósł zwierzynę swemu panu, który włożył ją do torby.

Nie wyświadczo mi nawet tej satysfakcji, przypuszczając choćby przez chwilę, że mogłem mieć jakiś udział w tej masakrze. Ale nie odezwałem się, ponieważ nie chciałem nic mówić. Wiadomo, że z natury jestem nieśmiały w towarzystwie ludzi, którzy wiedzą więcej ode mnie.

Słowo daję, ten pierwszy sukces wzmógł apetyty tych ludzi głodnych niszczenia zwierzyny. Pomyślcie! Po trzech godzinach polowania jedna przepiórka na siedmiu myśliwych! Nie, to niemożliwe, aby na bogatych terenach Hérissart nie było przynajmniej

jeszcze jednej i, jeśli dojdzie do ponownego zabijania, wypadnie po mniej więcej jednej trzeciej przepiórki na wojownika.

Minąwszy kępę drzew, znaleźliśmy się na fatalnym gruncie zaoranych pól. Na mój gust bruzdy zmuszające do wykonywania męczących kroków i kawały gleby, w które grzęzły nogi, wcale mi nie odpowiadały. Bardziej wolę asfalt bulwarów.

Już od dwóch godzin towarzystwo wraz ze zgrają psów nadaremnie krążyło po polu. Jakaś gwałtowna porywczosć objawiała się z byle powodu – złorzeczono na pniak, o który się potknęto, na psa, który wpadł pod nogi. Krótko mówiąc, te oznaki jednoznacznie wskazywały na wielkie rozdrażnienie myśliwych.

Nareszcie o jakieś czterdzieści kroków od nas wzniosło się nad polem buraczanym stado kuropatw. Nie śmiem twierdzić, że można to było nazwać stadem, ponieważ jego stan liczebny był zredukowany do minimum. Rzeczywiście, składało się ono z dwóch kuropatw!

Nieważne! Strzeliłem w tę chmarę ptactwa, a tuż po moim strzale padły dwa następne. To panowie Pontcloué i Matifat pozwolili wreszcie jednocześnie przemówić swoim fuzjom.

Jeden z tych biednych ptaków spadł. Drugi poleciał najspokojniej dalej, przenosząc się za duże wzniesienie terenu, położone o jaki dobry kilometr od tego miejsca.

Ach, nieszczęsna kuropatwo, jakiej to kłótni stałaś się przyczyną! Jaka wymiana zdań miała miejsce między Matifatem a Pontclouém! Każdy z nich pretendował do miana sprawcy twojej śmierci. Jakie złośliwe riposty! Jakież ubliżające niedomówienia! Jakie godne pożałowania aluzje!

A epitety! Spekulant!... Zagarnia wszystko tylko dla siebie!... Do diabła z człowiekiem nie mającym za grosz honoru!... Ostatni raz polujemy razem! I jeszcze wiele innych obelg, całkowicie w guście pikardyjskim, których moje pióro skreślić nie może.

Prawdą było, że strzały tych dwóch panów padły jednocześnie. Był wprawdzie trzeci, który je poprzedził, lecz nie było o czym dyskutować, bo czyż można było przyjąć, że to ja strąciłem kuropatwę? Wyobraźcie sobie – jakiś tam nowicjusz!

Dlatego też nie zamierzałem wtrącać się do kłótni między Pontclouém a Matifatem, choć miałem szczerą chęć pogodzenia ich. A że nie protestowałem, to tylko dlatego, iż z natury jestem nieśmiały.... Dalszy fragment tej frazy już znacie.

## VII

Wreszcie, ku wielkiej uciechu naszych żołądków, nadeszło południe. Zatrzymaliśmy się u stóp skarpy, w cieniu starego wiązu. Fuzje i próżne, niestety, torby złożono na boku. Następnie zabrano się do jedzenia, aby podreperować nieco siły, tracone od czasu wyjazdu na bezużytecznym bieganiu.

Po prawdzie był to smutny posiłek! Tyle skarg, co kąsków jedzenia! Straszna kraina! Zwierzyńę wytrzebili kłusownicy! Należałoby ich powiesić na drzewach z napisami odstrasżającymi na piersiach! Polowanie stało się niemożliwe! Może należałoby zakazać na jakiś czas polowań? Tak! Nie!

Potem nastąpiła cała litania skarg myśliwych, którzy od świtu nic nie upolowali!

Następnie rozpoczęła się dyskusja między Pontclouém a Matifatem na temat “miedzowej” kuropatwy, będącej przedmiotem sporu. Wmieszali się w nią także inni. Sądziłem nawet, że dojdzie do rękoczynów.

Wreszcie po upływie godziny wszyscy ruszyli dalej – obzarci i opici – jeśli można tak powiedzieć. Być może po obiedzie pójdzie lepiej! Cóżby to był za prawdziwy myśliwy, który nie zachowałby odrobiny nadziei i nie czekał chwili, kiedy kuropatwy znowu się zwołają, aby spędzić noc w gronie rodzinnym!

Ponownie rozstawiliśmy się. Psy, warcząc prawie tak jak my, podążały przodem. Ich panowie wrzeszczeli na nie tak strasznie, że jak żywo przypominało to wydawanie komend w marynarce angielskiej.

Niezdecydowanie podążałem za nimi. Zaczęło ogarniać mnie wielkie znużenie. Torba, tak pusta jak była przedtem, uciskała mi nerki. Fuzja była niezwykle ciężka i żałowałem, że nie jest to laska. Rożek na proch i ładownicę z radością powierzyłbym jednemu z młodych wieśniaków, którzy towarzyszyli mi z ironicznymi uśmieciami na twarzy, pytając się, ile to już uśmierciłm kuchanych czwórónógów. Jednak, uniesiony miłością własną, nie ośmieliłem się tego zrobić.

Minęły jeszcze dwie godziny, dwie męczące godziny. Przeszliśmy na piechotę przeszło piętnaście kilometrów. To, co objawiło mi się w sposób oczywisty na tej wyprawie, to że ja prędzej się znużę niż przepiórki.

Nagle dało się słyszeć jakieś *fru-fru*, które przerwało moje rozmyślenia. Tym razem było to spore stadko kuropatw wlatujących nad krzakami. Ogólna strzelanina! Ogień według uznania! Padło około piętnastu strzałów – w każdym razie według moich obliczeń.

Jakiś krzyk rozległ się zza dymów! Spojrzałem...

W tej chwili ponad krzakami ukazała się czyjaś głowa. Był to wieśniak z prawym policzkiem wyдутym jakby trzymał orzechy w gębie.

– Wspaniale! Wypadek! – zawołał Brétignot.

– Tego jeszcze brakowało! – dodał Duvauchelle.

Jedyne, co im przyszło na myśl, to: “Przestępstwo zranienia w wyniku strzału bez intencji spowodowania śmierci”, jak mówi kodeks myśliwski. I ci ludzie, pozbawieni serca, podbiegli do psów, które przyniosły dwie, tylko zranione kuropatwy, i uderzeniami obcasów dobili nieszczęsne ptaki! Życzyłem im bardzo, żeby nie spotkało ich kiedyś to samo!

W tym czasie miejscowy, z wyдутym policzkiem, nie mogąc nic mówić, stał nadal w tym samym miejscu.

– Czego właściwie chce ten pocziwiec? – spytał protekcyjnie Maximon.

– Dalibóg! Dostał paroma ziarenkami ołowiu w policzek! – odpowiedziałem za niego.

– Ba! To drobnostka! – wypalił Duvauchelle. – Drobnostka!

– Kiedy... kiedy... – zaczął wieśniak, jednocześnie pragnąc podkreślić strasznym grymasem doniosłość rany.

– Lecz któż był tak niezręczny i uszkodził tego biedaka? – spytał Brétignot, którego spojrzenie wyraźnie na mnie spoczęło.

– Strzelał pan? – zwrócił się do mnie Maximon.

– Tak! Strzelałem... jak wszyscy!

– A więc sprawa rozstrzygnięta! – zawołał Duvauchelle.

– Jest pan tak samo kiepskim myśliwym jak Napoleon I – dodał Pontcloué, który nienawidził cesarstwa.

– Ja!? Ja!... – krzyknąłem.

– To mogłeś być tylko ty – dodał ostro Brétignot.

– Zdecydowanie ten pan jest niebezpiecznym człowiekiem – stwierdził Matifat.

– Gdy jest się nowicjuszem – dorzucił Pontcloué – odrzuca się wszystkie przychodzące zaproszenia.

Po tym stwierdzeniu wszyscy odeszli.

Zrozumiałem. Zranienie wieśniaka przypisano mnie.

Nie było rady. Wydobyłem sakiewkę i dałem dziesięć franków temu biednemu wieśniakowi, którego prawy policzek przybrał natychmiast dawniejszy kształt. Z całą pewnością wypchał go orzechami.

– Co, teraz lepiej? – spytałem.

- Och, nie! Tu! Tu! Nuwe udyrzynie! – odpowiedział, wydymając lewy policzek.
- O, nie! Dość mam już jednego policzka – powiedziałem i odszedłem.

## VIII

Podczas gdy ja w ten sposób radziłem sobie ze sprytnym Pikardyjczykiem, inni już się oddalili. Słyszałem jednak dobrze, jak mówili, że nie jest bezpiecznie przebywać w pobliżu takiego jak ja niezdary i najzwyczajniejsza w świecie ostrożność każe schodzić mu z drogi.

Nawet sam Brétignot, surowy acz niesprawiedliwy, opuścił mnie, jakbym był *jettatore*,<sup>19</sup> mogącym rzucać urok. Wszyscy wkrótce zniknęli na lewo, za małym laskiem. Prawdę mówiąc, wcale się tym nie smuciłem. Przynajmniej teraz będę odpowiedzialny jedynie za swoje czyny!

Zostałem więc sam, zupełnie sam pośród tego niekończącego się pola. Cóż zatem, wielki Boże, należało zrobić z całym tym ekwipunkiem złożonym na mych barkach? Nie było ani jednej przepiórki, do której można by strzelić. Żadnego zajunca, jak mówią wieśniacy pikardyjscy, który, używając słowa z żargonu myśliwskiego, kołowałby! Lepiej mi było spokojnie siedzieć w swoim gabinecie, czytać, pisać lub nawet nic nie robić!

Szedłem bez celu. Przemierzając te zaorane pola, wybierałem najchętniej udeptane ścieżki. Maszerowałem dwadzieścia minut, potem odpoczywałem dziesięć. W promieniu pięciu kilometrów żadnego zabudowania, żadnej wieży rysującej się na horyzoncie. Było to zupełnie odludzie, a tylko co jakiś kawałek stał słup z oszukańczym napisem grożącym intruzom: ***POLOWANIE ZABRONIONE.***

Zabronione? Z całą pewnością nie było tu żadnej zwierzyny łownej, nawet nie było jej śladów!

Tak ciągle idąc, ze strzelbą przewieszoną przez ramię, powłócząc nogami, marzyłem i filozofowałem. Na mój gust słońce za wolno zachodziło za horyzont. Czyżby jakiś nowy Jozue,<sup>20</sup> zawieszając prawa kosmografii,<sup>21</sup> zatrzymał je na tej dziennej drodze, ku największej przyjemności mych szalonych kompanów? Czy w końcu po tym żalonym dniu, rozpoczynającym sezon łowiecki, nie nadejdzie noc?

## IX

Lecz istnieją także granice wszystkiego – nawet terenów, na których jest zabronione polowanie. Zobaczyłem lasek, ograniczający równinę. Jeszcze jeden kilometr i dotrę do niego.

Szedłem więc dalej, nie wstrzymując już kroku. Szybko przebyłem ten kilometr i dotarłem do skraju lasu.

Z oddali, z bardzo daleka, rozbrzmiewały detonacje, jak bukiet fajerwerków w dniu 14 lipca.<sup>22</sup>

“Mordują! – pomyślałem. – Z całą pewnością nic nie zostawią na przyszły rok!”

I wtedy – tak to się dzieje na tym bożym świecie – naszła mnie myśl, że więcej szczęścia będę miał pod drzewami, niż na otwartej przestrzeni. Zawsze można spotkać tam na wierzchołkach drzew łagodne wróble, które w najlepszych restauracjach, elegancko nabite na rożen, są podawane gościom pod nazwą skowronków!

Szedłem więc kolejnymi przecinkami leśnymi, mającymi doprowadzić mnie do głównego traktu.

Doprawdy, jakiś demon polowania zawładnął waszym sługą! Nie niosłem już dłużej strzelby na ramieniu, lecz nabiłem ją starannie i trzymałem w pogotowiu, rzucając na wszystkie strony badawcze spojrzenia!

Nic! Wróble bez wątpienia rozeznały się w zamiarach paryskich restauratorów i nie opuszczały ukrycia. Raz czy dwa strzeliłem, ale poruszyłem tylko kilka listków na drzewach. Stanowczo nie mogłem pozwolić sobie na strzelanie do liści!

Było już około piątej. Wiedziałem, że za czterdzieści minut muszę powrócić do gospody, gdzie podadzą nam obiad przed ponownym zajęciem miejsca w powozie, który ludzi i zwierzęta, żyjących i zabitych, wszystkich razem pomieszanych dowiezie do Amiens.

Szedłem więc dalej, podążając główną przecinką zakręcającą w kierunku Hérissart, spoglądając jednocześnie dokoła czujnym wzrokiem.

Nagle zatrzymałem się... Serce zabiło mi gwałtowniej. O pięćdziesiąt kroków, w kępie krzaków, między jeżynami i krzewami niezawodnie coś przebywało...

To coś było czarniawe, z srebrnym obrzeżeniem i jaskrawoczerwonym punktem, jakby płonąca źrenica, patrząca na mnie.

Niewątpliwie było to ukrywające się w tym miejscu stworzenie pokryte sierścią lub pierzem, lecz jakie – tego nie można było stwierdzić. Wahałem się między zajęcem, przynajmniej roczniakiem, a bażancicą.

Ech! Dlaczego nie? To właśnie szczególnie wywyższyłoby mnie w oczach towarzyszy, jeśli powróciłbym z bażantem wypełniającym torbę!

Zbliżyłem się więc ostrożnie, trzymając broń gotową do strzału. Wstrzymałem oddech. Tak byłem podniecony! Podniecony jak Duvauchelle, Maximon i Brétignot razem wzięci!

Kiedy wreszcie dotarłem na odpowiednią odległość – około dwudziestu kroków – uklęknąłem na ziemi, aby oddać pewniejszy strzał. Otwarte szeroko prawe oko, zamknięte dobrze lewe, muszka prawidłowo ułożona w szczerbinie – wymierzyłem i dałem ognia.

– Trafiony! – zwołałem, wyprowadzony z równowagi. – Tym razem nie da się zaprzeczyć, że to był mój strzał!

Rzeczywiście, zobaczyłem na własne oczy fruujące pióra... lub bardziej kłaczki sierści.

Nie mając psa, sam podbiegłem do krzaka i rzuciłem się na nieruchome zwierzę, nie dające żadnego znaku życia. Podniosłem je...

To była... czapka żandarma, otoczona srebrną obwódką i z kokardą barwy czerwonej, którą wziąłem za oko! Na szczęście nie znajdowała się na głowie właściciela w chwili, gdy do niej strzelałem!

## X

W tej chwili podniosło się jakieś ciało schowane w trawie. Poznałem z przerażeniem niebieskie spodnie z czarnymi lampasami, ciemną bluzę ze srebrnymi guzikami, pas i złoty żandarmski pendent, 23 które mój nieszczęsny strzał pobudził do ruchu.

– Czy strzela pan teraz do czapek żandarmskich? – spytał mnie tym tonem, tak charakterystycznym dla przedstawicieli władzy.

– Zapewniam, panie żandarmie!... – odpowiedziałem, bełkocząc.

– A do tego trafił pan dokładnie w kokardę!

– Panie żandarmie... myślałem... że to jakiś zając! Złudzenie! Naprawdę, gotów jestem zapłacić.

– Doprawdy!? Czapka żandarma jest bardzo droga, zwłaszcza, jeśli nie ma się pozwolenia na ten strzał!

Zbladłem, a cała krew uciekła mi z serca, bowiem była to bardzo drażliwa kwestia.

– Posiada pan pozwolenie? – spytał żandarm.

– Pozwolenie?

– Tak, pozwolenie! Pan chyba dobrze wie, co to jest pozwolenie?

Tylko nie to! Nie miałem pozwolenia! Nie uważałem za stosowne na jeden dzień polowania wyrabiać go sobie. Ale postanowiłem odpowiedzieć tak, jak wszyscy odpowiadają w takiej sytuacji:

– Zostawiłem je w domu.

Pogardliwy uśmieszek niedowierzania przemknął po twarzy przedstawiciela prawa.

– Jestem zatem zmuszony spisać protokół – powiedział łagodnie, jak człowiek przeczuwający otrzymanie korzyści.

– Dlaczego? Jutro, dobry panie żandarmie, prześlę panu to zezwolenie i...

– Oczywiście, rozumiem – odpowiedział żandarm – lecz zmuszony jestem spisać protokół.

– A więc dobrze, niech pan spisuje, kiedy jest pan tak nieczuły na prośby nowicjusza!

Żandarm, który stanie się wrażliwy, nie będzie już żandarmem. Toteż ten wyciągnął z kieszeni notatnik oprawiony w żółtą skórę.

– Jak się pan nazywa? – spytał.

Otóż wiedziałem bardzo dobrze, że, będąc w tak ciężkich tarapatach, należy z całą pewnością siebie podać nazwisko jakiegoś znajomego. Gdybym wtenczas miał zaszczyt być członkiem Akademii w Amiens, być może nie zawahałbym się podać nazwiska jednego z moich

kolegów. Ale wówczas zadowolilem się wymienieniem nazwiska jednego z moich starych przyjaciół z Paryża, wielce zdolnego pianisty. Niewątpliwie w tej chwili ten biedny chłopak, pochłonięty zapewne ćwiczeniami z *czwartym palcem* nie domyślał się, że spisano przeciwko niemu protokół na okoliczność popełnienia przestępstwa na polowaniu!

Żandarm starannie zapisał nazwisko tej ofiary, jego zawód, wiek i adres. Następnie poprosił mnie grzecznie, abym oddał mu swoją strzelbę, co też spiesznie uczynilem, ponieważ dzięki temu miałem mniej do niesienia. Poprosilem go, aby dołączył do tego także torbę myśliwską, worek na ołów, rożek na proch i dokonał konfiskaty w całości. Ku memu żalowi, nie wykazał jednak żadnego zainteresowania.

Pozostała jeszcze sprawa czapki. Miała zostać natychmiast zakończona zapłatą złotymi monetami, ku zadowoleniu obu umawiających się stron.

– To oburzające! – powiedziałem. – Ta czapka jest mocno zużyta!

– Czapka jest prawie nowa! – odpowiedział żandarm. – Kupilem ją jakieś sześć lat temu od pewnego brygadiera odchodzącego ze służby!

I po założeniu jej na głowę zgodnie z regulaminem, dostojny żandarm, kołyszając biodrami, udał się w swoją stronę, a ja w swoją.

Godzinę później dotarłem do gospody i ani słowa nie powiedziałem o mej niemiłej przygodzie, starannie ukrywając fakt braku skonfiskowanej strzelby.

Wypada stwierdzić, że moi towarzysze przynieśli w siedmiu jedną przepiórkę i dwie kuropatwy. Jeśli chodzi o Pontclouégo i Matifata, to w czasie dyskusji pokłócili się na śmierć, a między Maximonem i Duvauchellem doszło do walki na pięści z powodu zajęcia, biegającego w tej chwili na wolności.

## XI

Taki to był szereg emocji, jakich doznałem podczas tego pamiętnego dnia. Być może zabiłem przepiórkę, być może zastrzeliłem kuropatwę, być może nawet zraniłem wieśniaka, ale z pewnością podziurawiłem czapkę żandarma! Za polowanie bez zezwolenia wytoczono proces komuś innemu, zamiast mnie! Oszukałem władzę urzędową! Czy może przytrafić się jeszcze więcej początkującemu myśliwemu na początku kariery takiej jak Andersona i Pertuiseta?<sup>24</sup>

Wyobrażam sobie jak musiał być bardzo niemile zaskoczony mój przyjaciel pianista, kiedy otrzymał pozew do stawienia się w sądzie poprawczym<sup>25</sup> w Doullens! Wiedziałem, że nie był on w stanie udowodnić swego alibi. Na skutek tego został skazany na szesnaście franków grzywny i koszty dodatkowe o podobnej wielkości.

Spieszę jednak dodać, że jakiś czas później otrzymał pocztą przekaz z dopiskiem “zwrot”, opiewający na trzydzieści dwa franki, który wynagrodził jego wydatki. Nie dowiedział się nigdy, kto mu go przesłał, lecz hańba sądenia za występki i figurowania w kartotece sądowej często znajdowała odbicie na jego twarzy.

## XII

Nie lubię myśliwych, podobnie jak ja rozprawiających o swym debiucie, a szczególnie kiedy przedstawiają swe przygody z polowania. Otóż ja, przed chwilą, opowiedziałem swoje. Zechciejcie mi wybaczyć. To się już więcej nie powtórzy!

Wyprawa ta była dla pisarza jednocześnie pierwszą i ostatnią, lecz zachował on wspomnienie, przypominające uraz. Toteż za każdym razem, kiedy spotyka jakiegoś myśliwego, podążającego za swoim psem ze strzelbą na ramieniu, nigdy nie zapomni życzyć mu dobrego polowania – mówi się, że przynosi to pecha!

## Przypisy

**1** *diligents* (*ang.*) – pilni, zaangażowani.

**2** *di primo cartello* (*wł.*) – pierwszej wody.

**3** Joseph Prudhomme – uosobienie zamożnego mieszczaństwa francuskiego za monarchii lipcowej 1830-48, typ o grubym brzuchu i gromkim głosie, którym wypowiada frazesy i komunały; twórcą tej postaci był francuski karykaturzysta Henry Monnier; napisał: *Wielkość i upadek Josepha Prudhomme, Pamiętniki pana J. Prudhomme'a*.

**4** Nemrod – zapalony, zagorzały myśliwy (od prawnuka Noego, wielkiego łowcy i założyciela miast).

**5** rożek – dosłownie Verne użył słów: “przedmiot w kształcie gruszki”.

**6** stolicy Pikardii – to jest miasta Amiens.

**7** onomatopeja – wyraz dźwiękonaśladowczy.

**8** gon – głos goniących psów, ujadanie.

**9** baccara (*fr.*) – bakarat, hazardowa gra karciana; tu: osoba nie mająca szczęścia.

**10** neofita – tu: nowicjusz.

**11** tokowisko – miejsce, gdzie odbywają się zaloty godowe (toki) niektórych ptaków.

**12** *hérissé* (*fr.*) – najeżona.

**13** Mont-sous-Vaudrey – miasteczko w departamencie Jury (Francja).

**14** wiropłatowce – dawniej: zabawki napędzane śmigłem.

**15** przybitka – nakładka z grubego kartonu lub wojłoku, służąca do ustalenia położenia ładunku prochowego w łusce lub lufie oraz do jej uszczelnienia w chwili strzału.

**16** stempel – tu: przyrząd do ubijania prochu w lufie, rodzaj kijka zakończonego zgrubieniem lub kulką.

**17** kapiszon na kominek – w dawnej ręcznej broni palnej na kominek zamka (rurka, otwór łączący zamek z lufą) nakładało się kapiszon, czyli rodzaj spłonki mosiężnej lub miedzianej, wykonanej w kształcie miseczki, zawierającej masę palną wybuchającą po uderzeniu kurka i zapalającą proch w lufie.

**18** areopag – grono osób rozstrzygających w sposób autorytatywny jakieś sprawy.

**19** jettatore (*fr.*) – czarownik, szaman.

**20** Jozue – następca Mojżesza, wódz Izraelitów, którego czyny opisuje tzw. Księga Jozuego; wg tej Księgi Jozue, podczas bitwy z Gabaonitami, rozkazuje słońcu i księżycowi stanąć w miejscu na niebie, aby można było zadać wrogom ostateczną klęskę przed zapadnięciem zmroku.

**21** kosmografia – dawny dział astronomii, stanowiący zbiór ogólnych wiadomości z zakresu astronomii, a także geografii, geologii i meteorologii.

**22** 14 lipca – narodowe święto Francji, upamiętniające dzień zburzenia Bastylii.

**23** pendent – pas zakładany przez ramię do noszenia na nim broni białej, np. szabli.

**24** Andersona i Pertuiseta – sławni myśliwi; Eugene Pertuiset został uwieczniony na obrazie Maneta “Pertuiset łowca lwów”.

**25** sąd poprawczy – sądzący czyny uznane za występki.